

Durko, Janusz

Lata pięćdziesiąte

Almanach Muzealny 1, 347-358

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Janusz Durko

LATA PIĘCDZIESIĄTE

Nic nie zapowiadało zasadniczego zwrotu w moim życiu, nie zapowiadało znalezienia się w kręgu spraw, które mnie zawsze interesowały, nic nie sygnalizowało, że lata najbliższe zadecydują o całym dalszym moim życiu. Pracowałem w charakterze adiunkta w Instytucie Historii Najnowszej (Instytucie Pamięci Narodowej) przy Prezydium Rady Ministrów, którego dyrektorem był dr Stanisław Płoski, szef Biura Historycznego Armii Krajowej w latach okupacji. „Czy chciałby Pan wziąć udział w zebraniu inauguracyjnym Muzeum Pracy i Rozwoju Społecznego?” – zapytał. Zgodziłem się. Zebranie to odbyło się 22 stycznia 1949 r. w gabinecie dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie, w czasie nieobecności w kraju prof. Stanisława Lorentza. Przewodniczył prof. Stanisław Arnold. Nie jestem w stanie przypomnieć wszystkich uczestników zebrania, pamiętam jedynie Stanisława Płoskiego, Wandę Monasterską, późniejszą żonę Józefa Lipińskiego, również obecnego na tym spotkaniu, nieodłącznego asystenta prof. Stanisława Arnolda, może w tym sensie asystenta, że gdy zachodziła potrzeba, a miała ona miejsce niestety często, to kieliszek łączył obie bratnie dusze. Prof. Arnold snuł na tym zebraniu plany przyszłego Muzeum, wspominając jako swego rodzaju wzór do naśladowania, muzeum o podobnym kształcie istniejące przed wojną w Wiedniu. Z datą 27 kwietnia 1950 r. podpisałem umowę na stanowisko adiunkta w Muzeum Pracy i Rozwoju Społecznego z ówczesnym Ministrem Kultury i Sztuki Włodzimierzem Sokorskim. Pracownikami Muzeum zostali: Józef i Wanda Lipińscy, Alina Jabłkowska, Antonina Wellman i Jan Kosim. Siedzibą Muzeum był niewielki pokój, na prawo od głównego holu Muzeum Narodowego, pod głównymi schodami, do którego wchodziło się z pierwszej sali ekspozycyjnej sztuki gotyckiej. Z czasem, za namową

Aliny Jabłkowskiej rodzina udostępniła obszerny pokój na najwyższym piętrze w znanym Domu Handlowym „Bracia Jabłkowscy” przy ulicy Brackiej. Na projektach poprzestano, do zorganizowania Muzeum nie doszło.

Związałem się z pracą w Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych, na stanowisku naczelnika wydziału naukowego wydawniczego. W połowie listopada 1951 r. zgłosili się do mnie: Jan Kosim i Józef Boroda reprezentujący pracowników Związku Zawodowego Muzeum Miasta Warszawy z prośbą, abym zgodził się zostać dyrektorem tego Muzeum. Prosiłem o kilka dni do zastanowienia. Okazało się, że decyzją Ministerstwa Kultury i Sztuki Muzeum Pracy i Rozwoju Społecznego zostało włączone do Muzeum miasta Warszawy, które rozpoczynało swój żywot w jedynej odbudowanej wówczas kamienicy „pod Murzynkiem” po stronie Dekerta na Rynku Starego Miasta. Muzeum to przeżywało kryzys personalny. Organizator i pierwszy dyrektor Muzeum miasta Warszawy, Adam Słomczyński, w wyniku konfliktu z władzami miasta zrezygnował z funkcji dyrektora, prof. Stanisław Arnold po kilku miesiącach również odszedł (latem 1951 r.) z pełnienia funkcji dyrektora tegoż Muzeum, Mieczysław Chojnacki skierowany na to stanowisko opuścił je po kilku miesiącach.

Mam umowę zawartą w dniu 19 listopada 1951 r. z ówczesnym Ministrem Kultury i Sztuki Włodzimierzem Sokorskim, która zaczyna się od słów: „Obywatel Janusz Durko, w dalszej treści umowy zwany pracownikiem, przyjmuje na siebie obowiązki od dnia 1 grudnia 1951 r. dyrektora Muzeum Historycznego miasta stołecznego Warszawy”. Umowa sporządzona na powielaczu, na dwóch stronach maszynopisu obszernie i precyzyjnie informowała mnie, co należy do moich obowiązków i za co jestem odpowiedzialny. Nigdy jej nie zdołałem przeczytać, a to z tego m.in. powodu, że jest ona mało czytelna.

Widok był przerażający: całe Stare Miasto w ruinie, wypalone i częściowo zburzone wszystkie kamieniczki czterech stron Rynku, dojście do Muzeum, do jedynej odbudowanej kamienicy, prowadziło poprzez gruzy wydeptaną ścieżką, kraczące wrony od czasu do czasu ukazujące się w czeluściach okien i martwa cisza – oto obraz ówczesnego serca starej Warszawy. Dzień był krótki, o zmierzchu lepiej było nie pokazywać się w tym grobowcu miasta.

W Muzeum spotkałem wszystkich wymienionych wyżej pracowników dawnego Muzeum Pracy i Rozwoju Społecznego, poznałem natomiast tych, którzy byli pracownikami powołanego do życia uchwałą Prezydium Zarządu Miejskiego w dniu 24 marca 1948 r. Muzeum Historycznego m.st. Warszawy. Byli to: Barbara Bazińska, Czesław Czerwiński, Krzysztof

Dunin-Wąsowicz, Janina Gebethnerowa, Ryta Kozłowska, Tadeusz Skulski, Alina Sokołowska, Wanda Szaniawska i Stefania Wojtasiewicz. Kierować tak oddanym zespołem było dla mnie prawdziwą satysfakcją. W latach 1951–1954 powstało 21 wystaw w salach wystaw w kamienicy „pod Murzynkiem”. Opracowany został scenariusz stałej ekspozycji dla 64 sal muzealnych w odbudowywanych 11 kamieniczkach przeznaczonych dla Muzeum, której otwarcie nastąpiło w dniu 17 stycznia 1955 r. Niektóre elementy tej wizji plastycznej wystawy, powstałe w zespole pod kierunkiem Stanisława Zamecznika, do dziś przetrwały i są świadectwem słusznej drogi, jakże w tamtych czasach nowatorskiej. Do ciekawszych wystaw należały: ekspozycja przedmiotów z dziedziny kultury materialnej znalezionych przez robotników przy pracach budowlanych na terenie Starego Miasta (otwarta 15 kwietnia 1952 r.), w dziewięćdziesiątą rocznicę powstania styczniowego (otwarta 22 stycznia 1953 r.), Warszawa w malarstwie i grafice XVII–XIX w., na której znalazło się około 250 eksponatów własnych i wypożyczonych z innych muzeów, projekt odbudowy zespołu staromiejskiego (1953 r.), a także *Maria Curie-Skłodowska* (opracowanie scenariusza i zorganizowanie przy współpracy z Polską Akademią Nauk) – wystawa biograficzna w domu przy ulicy Freta (październik 1954 r.).

Nie było takich trudności, których nie mógłby pokonać zespół pracowników Muzeum; wydaje mi się dziś to niepojęte i nie w pełni rozumiem, jak mogło dzwignąć się z ruin w okresie jedynie półtora roku (w tym dwie zimy) Stare Miasto, którego odbudowę często podpatrywałem z okna swego gabinetu. Wraz z polichromią ukazały się mieszkańcom Warszawy (po zdjęciu rusztowań, które ciągnęły się jednolicie po czterech stonach Rynku) odbudowane kamienice latem 1953 r. Słusznie wpisano Stare Miasto do światowego dziedzictwa kultury.

Klimat wczesnych lat pięćdziesiątych nie mógł ominąć pracowników Muzeum, w kulturze jednak nie przybrał tak ostrych form jak w innych dziedzinach życia publicznego. Tym niemniej zaobserwować można było następujące zjawiska. W dniu 16 marca 1952 r. miał miejsce zjazd muzealny zorganizowany przez Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków w Gorzowie Wielkopolskim, którego celem było zapoznanie uczestników z muzeum wzorcowym. Wzorzec polegał na tym, że ekspozycja tam zaprezentowana miała być próbą zilustrowania praw rządzących naturą oraz rozwojem społeczeństwa ludzkiego uwzględniając przyrodę, historię i dzieje regionu gorzowskiego. 13 czerwca 1952 r. na innym zjeździe muzealnym w Łąncucie dyskutowano potrzebę zorganizowania w salach tego pałacu na drugim piętrze, stałej ekspozycji poświęconej dziejom chłopów pańszczyźnianego. Na przełomie 1953–1954 r. Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków polecił Muzeum naszemu opracowanie części historycznej scenariusza

wystawy dla Muzeum w Radomiu, której tytuł brzmiał: *Rozwój Świata*. Otwarcie wystawy odbyło się 21 marca 1954 r. Pociągami osobowymi wyruszyłem wraz Antoniną Wellman-Zalewską i Janem Kosimem do Radomia na kilka tygodni przed otwarciem wystawy, aby na miejscu obejrzeć sale przeznaczone na ekspozycję historyczną. Jakież było nasze zdumienie, gdy na rusztowaniach pod sufitem dostrzeżliśmy niemal już ukończony fryz wielkich rozmiarów, przedstawiający jak to z ameby powstaje ryba, która przekształciła się następnie w jakiegoś ssaka, by w dalszej ewolucji okazać się człowiekiem. Wystawie tej, poufnie oczywiście, nadaliśmy tytuł: „Od mamuta do Bieruta” i pod tym wezwaniem opracowaliśmy część historyczną scenariusza.

Kręgi współpracy coraz bardziej rozszerzały się. W początkach 1953 r. zaproszony zostałem na członka Rady Muzealnej przy Ministrze Kultury i Sztuki, której często przewodniczył minister, częściej Stanisław Lorentz. Oto problemy, jakimi zajmowała się Rada w latach 1953–1954 (niebawem zmieniła nazwę na – Rada Muzealna i Konserwatorska): szkolenie kadry muzealnej, sprawa otwarcia Muzeum Historycznego m.st. Warszawy w dniu 17 stycznia 1955 r., Muzeum Odrodzenia w Pieskowej Skale, projekt Instytutu Kształcenia Kadr Muzealnych przy Muzeum Narodowym w Warszawie, remont Sukiennic w Krakowie, Wawel, decentralizacja muzealnictwa, sprawa zjazdu muzealnej służby społeczno-konserwatorskiej, program konserwacji Wilanowa i jego realizacja, wytyczne do realizacji galerii malarstwa współczesnego w muzeach, analiza programu galerii sztuki polskiej w Muzeum Narodowym w Warszawie itp. Członkami Rady byli dyrektorzy muzeów narodowych, ale nie tylko – z Krakowa na pewno Jerzy Szablowski i Karol Estreicher. Posiedzenia w tamtych czasach charakteryzowało to, że ciągnęły się do późnych godzin wieczornych. Zapamiętałem wymianę zdań z Karolem Estreicherem, kiedy już przy końcu zebrania zapytałem: „Jak Pan teraz wróci do Krakowa, gdy już odszedł ostatni pociąg?” – „Ja wracam samochodem, lubię prowadzić samochód nocą, przed świtem będę na miejscu”.

Profesor Stanisław Lorentz szedł od sukcesu do sukcesu. Dwie wspaniałe wystawy w Muzeum Narodowym: *Odrodzenie* i *Oświecenie*, jak również szereg innych doskonałych wystaw umocniły jego przekonania, że Muzeum Narodowe jest przodującym muzeum w Polsce. Wszystko co czynił, robił z pasją. Nie uznawał półśrodków. Albo miał przyjaciół, albo wrogów. Jego wielka indywidualność wywierała niewątpliwie pozytywne piętno na polskim muzealnictwie. Częste spotkania w jego gabinecie z nieodłączną górą pączków od Bliklego, poświęcone były przeróżnym zagadnieniom, a wśród nich, w latach odczuwalnej odwilży, powrót do aktywnego członkostwa Polski w ICOM (Międzynarodowej Rady Muzeów

z siedzibą w Paryżu). Przy stole w gabinecie prof. Lorentza zasiadali kolejno (taki utarł się zwyczaj): Kazimierz Michałowski, Juliusz Starzyński, Kazimierz Malinowski, Ksawery Piwocki, Adam Mauersberger, Kazimierz Konieczny, Janusz Durko, Zdzisław Rajewski, Antonina Halicka, Jan Białostocki i Stefan Kozakiewicz. Prof. Michałowski często pod różnymi pretekstami wychodził wcześniej, również prof. Białostocki zniknął niepostrzeżenie, spoglądając zrozpaczonym wzrokiem, gdy przyszło mu siedzieć zbyt długo. Z jego oczu można było odczytać: „dajcie mi spokój, nie odrywajcie mnie od moich zajęć, które cenniejsze są niż złoto”.

Juliusz Starzyński, dyrektor Instytutu Sztuki PAN, mówił krótko, a każde słowo miało swoją wagę. Kazimierz Malinowski był wówczas jeszcze dyrektorem Muzeum Narodowego w Poznaniu, lecz szykował się już do objęcia stanowiska dyrektora Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków w Warszawie i z tych pozycji często zabierał głos. Ksawery Piwocki, dyrektor Muzeum Kultury i Sztuki Ludowej w Warszawie zawsze trafnie kierował dyskusję na właściwe tory, gdy wydawało się, że schodzi na manowce. Adam Mauersberger, dyrektor Muzeum Adama Mickiewicza był z trudem tolerowany przez Stanisława Lorentza. Kazimierz Konieczny dyrektor Muzeum Wojska Polskiego, zawsze w mundurze nie przemawiał jak wojskowy, wyczuwało się u niego łagodność i delikatność; Zdzisław Rajewski, dyrektor Państwowego Muzeum Archeologicznego, był postacią oryginalną, gdy trzeba było wtrącał żart, ale i poważne rozważania miały też miejsce. Zaczynała i szanowna dyrektor Muzeum Ziemi, Antonina Halicka, miała tę zdumiewającą „zaletę”, że przestawała mówić wówczas, gdy Stanisław Lorentz uznał za celowe powiedzieć – „dość”.

Wspomniałem o reaktywowaniu Polskiego Komitetu Narodowego Międzynarodowej Rady Muzeów. Na jednym z zebrań powołano członków Komitetu, którego przewodniczącym został Stanisław Lorentz, natomiast sekretarzem komitetu – Janusz Durko. Funkcję tę przyszło mi pełnić przez blisko 15 lat. Dwie sprawy stanęły wówczas na porządku dziennym jako pilne: udział delegacji polskiej w konferencji generalnej ICOM, jaka miała odbyć się w Szwajcarii w dniach od 1 do 8 lipca 1956 r. oraz przygotowania ze strony polskiej do zorganizowania Międzynarodowej Kampanii Muzealnej przewidzianej na wrzesień tego roku. Wiceminister Kultury i Sztuki Lucjan Motyka zatwierdził następujący skład polskiej delegacji do Szwajcarii: Stanisław Lorentz, Bohdan Marconi, Ksawery Piwocki, Zdzisław Rajewski i Janusz Durko. Ówczesny styl Biura Paszportów znanego Ministerstwa polegał na tym, że do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy otrzyma się paszport. Zbliżał się 1 lipca, ostatni samolot do Szwajcarii odleciał, pozostała nadzieja udania się pociągiem do Pragi i tam w dalszą drogę samolotem. Zebraliśmy się na dworcu spoglądając

nerwowo na zegarki, gdyż do odjazdu pociągu do Pragi pozostało jeszcze 5 minut. I gdy wydawało się, że trzeba będzie wracać do domu, wpadła na peron urzędniczka Ministerstwa Kultury i Sztuki wręczając nam paszporty. Udało się! W Pradze należało przenocować, ponieważ samolot do Zurychu odlatywał dopiero następnego dnia rano. Co to był za hotel – nie pomnę, w każdym razie nocowaliśmy w pięciu w jednym pokoju. W nocy Ksawery Piwocki zaniemógł i zrezygnował z dalszej drogi. Ostatecznie czteroosobowa delegacja wzięła udział w Generalnej Konferencji ICOM.

Przypomnę: nasz wyjazd wypadł w okresie wydarzeń, kiedy to na ulicach Poznania pojawiły się czołgi, byli zabici i ranni. Atmosfera w całym kraju napięta. W dniu dramatycznych wydarzeń spotkałem Bolesława Drobnera, wybitnego działacza socjalistycznego jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. „Co Pan o tym sądzi, jakie Pan widzi wyjście z tego dramatu?” – spytałem. „Jakie wyjście? Ktoś z wielkim autorytetem musi wyłonić się i opanować sytuację. Widzę w Polsce tylko jedną osobę: ja nią jestem, ale gdy się do mnie zwrócą odmówię, bo sam nie podołam, a nikogo nie widzę, kogo mógłbym zawezwać do współpracy”. Wydarzenia potoczyły się inaczej.

Będąc w Zurychu wykorzystałem wolne przedpołudnie, aby udać się do Zamku Rapperswil, w którym przez wiele lat mieściło się sławne Polskie Muzeum Historyczne. Oto co zastałem: w niewielkiej salce na parterze dojrzałem kilka zapleśniałych dziewiętnastowiecznych sztychów, mundury oficerów polskich z dwudziestolecia międzywojennego, kolekcję orderów przedwojennych, zakurzone lalki: krakowianki i górale, plakaty i nic nie mówiące dokumenty wystawione w gablotach. Całość robiła wrażenie żałosne, ogarnęło mnie uczucie wstydu na myśl, czym było dla narodu polskiego Muzeum Historyczne i jaki obraz przekazany został potomności. Cały zamek zajął Instytut Badań Zamków Średniowiecznych i tam w salach na pierwszym piętrze zorganizował wystawę makiet najśłynniejszych zamków średniowiecznych z wielu krajów Europy. Po powrocie do Warszawy zwróciłem się do Ministerstwa Kultury i Sztuki z apelem o zorganizowanie w Rapperswilu właściwej ekspozycji. Przygotowałem obszerną notatkę informacyjną o historii Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Natrafiłem na bardzo przychylny grunt w Prezydium Towarzystwa Polsko-Szwajcarskiego, wraz z dr. Adamem Lewakiem, wieloletnim dyrektorem Biblioteki Rapperswilskiej i świetnym znawcą tego problemu przygotowaliśmy tezy do scenariusza sali polskiej w Zamku, a nawet przygotowaliśmy orientacyjny kosztorys realizacji stałej wystawy, niestety, sprawa nie znalazła rozwiązania. Może istota rzeczy tkwiła w tym, że po wojnie Rząd Szwajcarski wystąpił do Rządu Polskiego o zabranie eksponatów do Polski wytaczając jednocześnie proces o zamek jakoby

niszczący i nieużywany. Proces strona polska przegrała w trzech instancjach. Ekspozyty i książki przywiezione do Polski w 1950 r. zasiły m.in. Muzeum Historyczne m.st. Warszawy.

Wspomniałem o planowanej na wrzesień 1956 r. Międzynarodowej Kampanii Muzealnej. Mogła ona dojść do skutku zapewne dlatego, że wiązała się z przewidywanym zwrotem przez ZSRR Polsce obiektów muzealnych zabranych w czasie wojny. Zwane Kampanią spotkanie muzeologów z różnych krajów Europy miało na celu wymianę poglądów na tematy zawodowe na przykładzie wybranych muzeów Warszawy, Krakowa, Poznania, Torunia i Gdańska. O stopniu zaangażowania w tę kampanię Stanisława Lorentza może świadczyć jeden z listów pisanych do mnie z datą 26 sierpnia 1956 r. Przybyli do Polski i wzięli udział w zjeździe: Jan van der Haagen z UNESCO, Georges Henri Rivière – dyrektor ICOM (Paryż), Germain Bazin – dyrektor galerii obrazów Luwru, Michel Florsoon – wicedyrektor Luwru, André Chaste – prof. Sorbony, Charles Sterling – kustosz galerii obrazów Luwru, Vladimir Denkstein – dyrektor Muzeum Narodowego w Pradze, Novotny – dyrektor Muzeum Sztuki w Pradze, Pogorny – dyrektor Muzeum w Budapeszcie i Karszowski – dyrektor Muzeum w Sofii. Delegacja z ZSRR w składzie: wiceminister – Kultyury Pachomko oraz Butienko, Artamonow i Zamoszkin wiaźali swój przyjazd do Polski ze zwrotem muzealiów. Dni były wyjątkowo piękne. Sądę, że dwudniowy pobyt w Nieborowie w dniach 21 i 22 września wszystkim jej uczestnikom musiał na długo pozostać w pamięci ze względu na beztroską atmosferę. Należy pamiętać, że goście z zachodu przybywając do Polski przekraczali wówczas „żelazną kurtynę” i początkowo spoglądali na nas nieufnie. Nieborów zawiązał przyjaźnie bez względu na to, kto z jakich krajów pochodził.

Dwie zwłaszcza postacie utrwaliły się w mojej pamięci. Jedną z nich był Rivière, wysoki, szczupły, o subtelnym wyrazie twarzy, wielkiej kulturze osobistej i bezpośredniości w obyciu. Przed wieczorem, po przybyciu do Nieborowa i po ukazaniu gościom sal pałacowych przez pełnego dynamizmu Stanisława Lorentza, Rivière'a dojrzał w Białej Sali fortepian, podszedł doń i powitał zebraną wokół niego delegację krótkim koncertem. Do posiłków usługiwał w białych rękawiczkach Walenty, jeszcze z czasów Radziwiłłowskich. Denkstein znał dobrze język polski, gdyż w latach trzydziestych studiował w Warszawie. Młodość miał trudną, ponieważ – jak mi mówił – dorabiał na życie grą na fortepianie w kinach praskich, w czasach jeszcze niemych filmów. Zaprzyjaźniliśmy się, czego m.in. owocem była otwarta w Muzeum Historycznym wystawa z Muzeum Narodowego w Pradze pt. *Rewolucyjny ruch husycki* (otwarta w listopadzie 1959 r.). Denksteina cechowała delikatność, daleko posunięta nieśmiałość

i wrażliwość. Staralem się udowodnić mu, że jest w Pradze osobą ważną, ba, wyjątkową, argumentując pytaniami. „Jak nazywa się stolica Czechosłowacji?” – odpowiadał: „Praha”; „A w Pradze główna ulica?” – „Václavské náměstí”; „Jak nazywa się najwspanialszy budynek na Václavském náměstí?”, – „Národní Muzeum”; „Kto jest dyrektorem Narodni’ego Muzeum?” – „VLADIMIR DENSTEIN” – odpowiadał.

Obsesją Stanisława Lorentza była sprawa odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Sprawa ta ze względów politycznych to odżywała, to znowu zamierała. Przeglądając któregoś dnia w Muzeum korespondencję dojrzałem podpisane przez Zygmunta Dworakowskiego, przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej w m.st. Warszawie zaproszenie tej treści: „Uprzejmie proszę o przybycie w dniu 5 lipca 1958 r. na zebranie organizacyjne Komitetu Społecznego Odbudowy Zamku Warszawskiego, godzina 10.30, pokój nr 132 w gmachu Prezydium”. Cytuję Stanisława Lorentza na podstawie maszynopisu zatytułowanego przez niego „Walka o odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie”: „Dnia 4 sierpnia 1957 r. zarządzeniem Ministra Kultury i Sztuki, Karola Kuryluka, utworzony został zespół opiniodawczy dla Spraw Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie pn. »Komisja do Spraw Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie«. Funkcję Przewodniczącego Komisji minister powierzył prof. Janowi Zachwatowiczowi, a w jej skład powołał: prof. Piotra Biegańskiego, doc. Janusza Durko, prof. Aleksandra Gieysztor, doc. Kazimierza Malinowskiego, arch. Jerzego Grabowskiego, prof. Stanisława Herbsta, prof. Stanisława Lorentza, prof. Ksawerego Piwockiego i prof. Władysława Tomkiewicza (...)”.

„W latach obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego odbudowa tego brakującego jeszcze, a najważniejszego obiektu na w pełni już niemal odbudowanym szlaku historycznym Wilanów – Belweder – plac Zamkowy – trakt Starej Warszawy – musi być podjęta” – głosiła m.in. uchwała Stołecznej Rady Narodowej z 19 lutego 1958 r. Powołano wówczas kilka komisji, m.in. Komisję Programową, której członkami zostali: Stanisław Lorentz, Adam Mauersberger i Janusz Durko. Ponieważ prof. Lorentz zasiadał wówczas również w innych komisjach, opracowanie programu Zamku jako Narodowego Muzeum Tysiąclecia Kultury Polskiej przypadło Adamowi Mauersbergerowi i mnie. Nasze spotkania, mające na celu opracowanie programu zagospodarowania wnętrza zamkowych zgodnie z wytycznymi o tysiącletniej kulturze polskiej było pasmem nieustannych, sympatycznych zresztą, nieporozumień. Satyr – Mauersberger zamierzał koniecznie nadać memoriałowi język barokowy, żadne zdanie, które zaproponował, nie mieściło się w pojęciu „sucho” opracowanego programu. Jednak w końcu doszliśmy do porozumienia i narodził się na 12 stronach

maszynopisu dokument przyjęty przez Stanisława Lorentza, którego treść ma obecnie jedynie wartość archiwalną. Odbudowany obecnie Zamek zaćmił swoją wspaniałością przedwojenny, a że w ogóle został odbudowany zawdzięczać to należy wyłącznie prof. Stanisławowi Lorentzowi, który niejednokrotnie mówił (nawet w czasie, gdy Władysław Gomułka był przeciwny odbudowie Zamku): „Nie umrę, dopóki nie będzie odbudowany Zamek; gdy będę już bardzo stary, weźmiecie mnie pod rękę, abym miał siły chodzić po odbudowanych salach zamkowych”. Dlatego też, śledząc przez lata upór Stanisława Lorentza i jego walkę o odbudowę Zamku, często, gdy wymawiam: – „Zamek Królewski w Warszawie” – dodaje: – „imienia Stanisława Lorentza”.

Również, gdy spoglądam na Teatr Wielki – gmach Opery dodaję „imienia Arnolda Szyfmana”, ponieważ od początku, gdy podjął ostatnie wielkie dzieło swego życia – dźwignięcia z ruin Opery, aż do uroczystego jej otwarcia w połowie listopada 1965 r. przez lat blisko 10 pokonywał Szyfman wszelkie przeszkody, walczył z niewyobrażalnymi trudnościami, aby uczynić tę budowę taką, jaka jest. Miałem możliwość obserwować tę wielką indywidualność w pokonywaniu przeszkód. Gdy po raz pierwszy spotkałem się z nim, zaproszony telefonicznie na rozmowę (było to w 1955 r.), gmach Opery pozostawał spalony, jak i wszystkie budynki okalające plac Teatralny. Jedyne budynki przy ulicy Moliera 2 został ledwo odbudowany. Tam mieściła się szkoła baletowa i gabinet Arnolda Szyfmana. Rozmowa dotyczyła przyszłego Muzeum Teatralnego, którego siedzibę przewidywał Szyfman w salach reductowych Opery. Pragnął, aby Muzeum to było oddziałem Muzeum Historycznego – i tak się stało. Gdy zagadnąłem go na pierwszym spotkaniu o eksponaty odrzekł: „już są” i wskazał ręką na ścianę za swoimi plecami na wiszące tam trzy szkice Stanisława Wyspiańskiego. Odtąd bywałem często w jego gabinecie; po oficjalnym powołaniu do życia w styczniu 1957 r. Muzeum Teatralnego rozpoczęli tam pracę jako pierwsi: prof. Eugeniusz Szwanowski – kierownik Muzeum, Ewa Makomaska i Janina Pudełek. Na wniosek Szyfmana minister Kultury i Sztuki powołał kolegium programowe Muzeum Teatralnego, które odbywało swe zebrania w moim gabinecie w Muzeum Historycznym. Jego skład był następujący: przewodniczący Arnold Szyfman, członkowie: Stanisław Lorentz, Stanisław Balicki, Zbigniew Raszewski, Antoni Dębnicki, Stanisław Dąbrowski, Janusz Durko, Jan Kosiński, Henryk Szletyński, Eugeniusz Szwanowski, Karyna Wierzbicka, Karol Frycz, Andrzej Pronaszko, Juliusz Starzyński, Władysław Daszewski. Podstawową troską pracowników Muzeum Teatralnego było gromadzenie eksponatów, jak również opracowanie scenariusza ekspozycji przyszłego Muzeum; Kolegium Programowe opracowywało wytyczne działania i zabiegało

o tworzenie w środowisku teatralnym klimatu do przekazywania ocalałych pamiątek Muzeum. Arnold Szyfman zgromadził w swoim mieszkaniu przy ulicy Prezydenckiej doskonałe zbiory; najbardziej zachwycała mnie kolekcja afiszów teatralnych z XVIII w.

Szyfman osiągnął cel: w połowie listopada 1965 r. odbyło się z wielkim rozgłosem otwarcie Opery. Przemówienia, gratulacje, zachwyty. Z łoża na to widowisko spoglądał Arnold Szyfman. Zabrakło jednego: słowa podziękowania Jemu ze strony przemawiających przedstawicieli najwyższych władz za wielki wkład w odbudowę Opery. Tego wieczoru pozostał niezauważony, otoczony milczeniem!

W 1958 r. wypłynęła sprawa zorganizowania stałej ekspozycji – sali polskiej w kazamatach twierdzy Szpilberg położonej niemal w centrum miasta Brna. Zwróciło się o to do mnie Ministerstwo Spraw Zagranicznych informując jednocześnie, że ze strony czeskiej powołany został Komitet, na którego czele stanął kierownik Instytutu Słowiańskiego Czechosłowackiej Akademii Nauk w Brnie – prof. dr J. Macurek. Ze strony polskiej do opracowania scenariusza ekspozycji zaprosiłem prof. Mariana Tyrowicza, znawcę zagadnienia, zamieszkałego w Krakowie. W swoim pamiętniku wydanym drukiem w 1988 r. pt. *W poszukiwaniu siebie* dokładnie opisał, jak doszło do otwarcia ekspozycji, połączonej z sesją naukową. Przytaczam fragment z jego wspomnień (t. II, s. 134): „Jakże przyjemnie zaskoczył mnie z końcem 1958 r. list Janusza Durko z Warszawy proponujący mi z inicjatywy Ministerstwa Spraw Zagranicznych opracowanie scenariusza małego muzeum polskiego w fortecy Szpilberg. Uradowałem się z całego serca. Moje studenckie jeszcze marzenia, by zgłębić prawdę o cierpieniach galicyjskich demokratów i bojowników o niepodległość w tych właśnie kazamatach, zdawały się teraz przybierać postaci nie byle jakiej roboty i badawczej i muzealnej. Odczułem z jednej strony grozę patriotycznej martyrologii, z drugiej, cichą satysfakcję, że oto skonfrontować mogę wstrząsające opisy warunków życia więźniów stanu, pióra Józefa Chołdeckiego i Kazimierza Ostaszewskiego-Barańskiego z rzeczywistością. Głębokie osobiste przeżycia miały teraz wzbogacić się o czynności o charakterze i naukowym i wychowawczym. Tylko starsze generacje Polaków, znających dzieje porozbiorowe Polski, rozumiały, jaką rolę w kształtowaniu świadomości narodowej odegrały takie miejsca »pokuty«, jak Szpilberg, Kufstein, Szlisselburg i inne. Młodzież powojenną uczono tylko o męczeństwach Oświęcimia i Majdanka”. Prace organizacyjne, jakie przyjąłem na siebie, trwały trzy lata. Wreszcie w 130 rocznicę powstania listopadowego – 29 listopada 1960 r., w obecności Ambasady Polskiej, władz Czechosłowacji, licznych przedstawicieli nauki ze strony czeskiej i polskiej, odbyła się podniosła uroczystość otwarcia w Szpilbergu

Muzeum Polskiego. Odstonięto tablicę marmurową treści następującej: „W kazamatach Szpilbergu więziono w latach 1839–1848 czołowych bojowników o narodowe i społeczne wyzwolenie ludu polskiego, wśród nich cierpieli tu Julian Maciej Goslar, Jan K. Andrusikiewicz, Henryk Hubicki, Robert Chmielewski, Henryk Schmitt i inni”.

Główne uroczystości i przemówienia miały miejsce – o czym nie wspomina w swoich pamiętnikach prof. Marian Tyrowicz – przed głównymi wrotami do twierdzy, a to dlatego, że na jej murach odstonięta została tablica inna, treści następującej: „W kazamatach Szpilbergu w latach 1839–1848 cierpieli czołowi rewolucjoniści polscy walczący o niepodległą i demokratyczną Polskę” – i poniżej na tejże tablicy: „W latach 1940–1944 więzieni tu byli i mordowani przez niemieckich faszystów bojownicy polscy. Cześć ich pamięci. Tablicę wmurowano w roku 1960”. Orkiestra odegrała hymn: *Jeszcze Polska nie zginęła*, a Marian Tyrowicz ukradkiem ocierał łzy tłumiąc wzruszenie.

Uroczystości otwarcia sali polskiej w Szpilbergu poprzedziła 26 listopada 1960 r. w gmachu Muzeum miasta Brna sesja naukowa. Obszerną salę wykładową wypełnili liczni goście. Ze strony polskiej prócz ambasadora Mazura i pierwszego sekretarza Piotrowskiego przybyli m.in. prof. Gerard Labuda z Poznania, profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego: Kazimierz Lepszy i Kazimierz Piwarski, doc. Józef Buszko. Odczyt o polskich szpilbergczykach wygłosił Marian Tyrowicz, ze strony czeskiej zabrali głos: prof. Macurek i dr Jarosław Valenta.

Życie w Muzeum Historycznym zamykały lata pięćdziesiąte bilansem 54 wystaw czasowych i znacznym wzbogaceniem zbiorów – varsavianów. Wśród bogatych w wydarzenia miesięcy i dni zaabsorbowania wymagało zorganizowanie ekspozycji na polach Grunwaldu z okazji 550 rocznicy zwycięstwa.

Drobnym epizodem kończę przypomnienie niektórych ważniejszych spraw, w których przyszło mi uczestniczyć. Otóż pewnego dnia miałem przyjemność przyjąć niecodziennych gości: Wandę Filipowiczową, z domu Krahelską, tę, która jako młoda panna rzuciła bombę w 1906 r. w Georgija Skafona, generał-gubernatora warszawskiego, Mariana Falskiego, autora pierwszego elementarza (*Nauka czytania i pisania dla dzieci*), na którym wychowało się kilka pokoleń oraz żonę rosyjskiego pisarza Maksima Gorkiego – Pieszkową. W Muzeum znajdowały się pamiętki po Stefani Sempołowskiej, działaczce społecznej i oświatowej organizatorce tajnego ruchu oświatowego oraz akcji pomocy dla więźniów politycznych jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Okazało się, że tę samą pomoc więźniom politycznym świadczyła Pieszkowa w Rosji i stąd zawiązała się przyjaźń między obu kobietami. Ponieważ Sempołowska już nie żyła (zmarła

w 1944 r.), Pieszkowa zapragnęła pokłonić się pozostawionym po Sempołowskiej pamiątkom przechowywanym w Muzeum. Wanda Filipowiczowa – Marian Falski – Pieszkowa: to była ciekawa rozmowa z osobistościami, których aktywne życie społeczne i polityczne tkwiło w początkach tego wieku – dziś można powiedzieć – sprzed 100 laty.

Tu już wkraczamy w następne dziesięciolecie, w lata sześćdziesiąte.